***

TO zaczęło się w sklepie spożywczym, chyba w “Żabce” na Stradomiu. Wyobraź sobie, że robisz zakupy i nagle...nie wiesz, gdzie jesteś. "Jestem w Krakowie...w Krakowie...ale gdzie konkretnie? I co to znaczy być w Krakowie...?" - szamotałem się przy kasie w głowie, rozpaczliwie próbując zorientować się w całej sytuacji. Po wyjściu z trudem poznałem drogę - byłem na Stradomiu, wiedziałem, że mam iść do męża kuzynki, Kaśki i oprowadzić ich po mieście. Ich - bo tata przywiózł synka, żeby już we wczesnym dzieciństwie zakosztował nieco tej magicznej aury “królewskości” mojego miasta. Idę z trudem w górę ulicy Stradom, z nieba leje się ołów, serce wali za mocno, ciśnienie rośnie, każdą komórkę ogarnia panika, rozlewa się po całym ciele, czuję, że zaraz upadnę, że urwie się film, zbiegnie się tłum, zrobi się afera, i mnie Tam zawiozą.
Więc plan jest, żeby To uprzedzić, nie dać się zawieźć, tylko samemu pojechać. Nici z oprowadzania, pożyczę stówę i jadę. Kiedy dotarłem ledwo żywy (ach te kanikuły pod koniec lata) na miejsce, gdzie się zatrzymali w hostelu przy Floriańskiej, okazało się, że i tak by nie poszli na miasto - mały jest zbyt wrażliwy na upały, trochę nawet przeziębiony, te klimy wszędzie, Alex tłumaczy dobrze po polsku, a jest Austriakiem z pochodzenia. - Miałbyś pożyczyć stówę? - pytam wreszcie. - No problem, Rafal. - Wiesz, trochę się kiepsko czuję, muszę podjechać na Klinikę, wezmę taxi, to jest z piętnaście kilometrów od centrum - tłumaczę nadgorliwie, jakbym podejrzewał, że on myśli, że ja pójdę i przepiję jego stówę. Ja tak zawsze. - Okej, okej, tu masz stówę, ale powiedz, czy nie potrzebujesz więcej...? - i wiem, że dałby więcej, może wszystko, żebym nie musiał Tam jechać. Ale ten cholerny anafranil już raz dał porządnie w kość nad morzem, szkoda, że go nie wywaliłem precz i teraz mam lekcję powtórkową. Do skutku. Zupełnie jak w kozie w szkole - do skutku, jak na spowiedzi, do skutku, jak w wojsku w karcerze, do skutku, do imętu. - Alex, muszę iść. - Ok, ok, i pamiętaj Rafał, gdybyś coś potrzebował, zawsze daj znać. - mówiąc to patrzył zza okularów jakoś tak głęboko, jak lekarz. Może mógłby zostać psychiatrą.
Wyszedłem i pobiegłem na taxi koło dominikanów, blisko Rynku, jeden znudzony grubas drzemał za kierownicą, drzwi zapraszająco uchylone, więc siadam i on się ocknął i wtedy jak strzał w tył głowy pada komenda: "Do kliniki w Kobierzynie. Na izbę przyjęć..."

***

Kiedy padł strzał, kierowca od razu otrzeźwiał. - Panie, niejednego już tam woziłem, żaden wstyd - bardziej siebie niż mnie starał się przekonać. - Jeden był tak pijany, że musiałem na izbie wyprowadzać go z samochodu, ledwo się na nogach trzymał. Inny twierdził, że w aucie chodzą mrówki, panie... - sprawnie kręcił kierownicą i skręcił w Gertrudy, a mnie nie wiem, czemu na myśl przyszła Gertruda Stein. "Nie, to nie ta, ta była zdaje się jakąś świętą" - i dalej słuchałem monologu grubasa, który jednocześnie dyskretnie obserwował mnie w lusterku, zresztą, może mi się zdawało. Jechaliśmy przez miejski tropik. Inne samochody jakby posłusznie ustępowały nam z drogi. Nawet tramwaje gdzieś się pochowały. Kilku rowerzystów, nieliczni przechodnie. "To dobrze, im mniej osób będzie wiedziało, tym lepiej" - główkowałem, jak po raz kolejny powiem rodzinie, że znowu ląduję w Babińskim.
Tymczasem kierowca umilkł i stanął w małym korku na Grunwaldzkim, potem przejechał rondo, w dali z jednej strony mignęła bryła Wawelu, z drugiej narodowy panteon, Skałka, a pod dawnym hotelem "Forum", gdzie wisiała kiedyś reklama piwa "Zimny Lech", zobaczyłem wielkie koło młyńskie i ludzi wiszących w skwarze na wysokości dziesiątego piętra.
Wreszcie stopniowo krajobraz zaczął się zmieniać, jeszcze Kapelanka i znajomy okrągły budynek banku, potem Kobierzyńska i drewniany kościółek, jeszcze skręt, łuk drogi, przystanek autobusowy, gdzie kie-

dyś wysiadałem, i brama główna z wielkim napisem "Szpital Neuropsychiatryczny im. Dr Józefa Babińskiego", a zaraz za bramą niewielki oddział banku PeKaO, potem bloki, gęsty żywopłot, szlaban i budka ochrony, rondo przed budynkiem administracji, zacieniona miło aleja z drzew, potem budynek pawilonu, gdzie mieściła się Iza Przyjęć, na podjeździe karetka i jakiś obdarty młody człowiek, prowadzony do wejścia przez facetów w bieli.
Gruby zaparkował, wydaje paragon, płacę i wysiadam. Kierowca jeszcze mnie pyta, czy ma czekać, ale ja mam tu zamiar spędzić całą jesień, więc zdecydowanie zaprzeczam, lekki trzask drzwi i ostatni papieros, międzyczasie przyjęto już młodego, podchodzę do okienka i podaję dowód osobisty. Mina dyżurnej mówi, że mnie poznaje z dwóch krótkich poprzednich pobytów, a może znowu mi się zdaje. W każdym razie po kilku minutach czekania jest znak do wejścia. Wchodzę, drzwi zamknięto. Lekarz wskazuje miejsce, siadam i czekam. Dziwny spokój wraca natychmiast w tych murach, mają jakieś kojące działanie, może to ten bijący ze ścian chłód, a może coś innego. Po chwili lekarz wyjął czystą kartę, spisał dane z dowodu i popatrzył uważnie zza rogowych, modnych okularów...

***

Spytał, jak się czuję, a kiedy zrelacjonowałem ostatnie dwie godziny, przyjął na oddział. Wypisał kartę, podstawowe objawy, przeważnie te same, co zawsze, których jednak nikt nie jest w stanie zrozumieć. Po chwili zawołał sanitariusza w bieli, a ten bez pytania, jedynie na potakujące skinienie głowy lekarza dyżurnego, gestem wskazał otwarte drzwi. I wyszliśmy, tak jak sześć lat wcześniej, jak siedem lat wcześniej. A jeszcze wcześniej o mało bym nie został przyjęty, jednak w ostatniej chwili zrezygnowałem. Niegdyś szpital kojarzył mi się z czymś wstydliwym, nawet neurologiczny, gdzie odwiedzałem na początku lat 90-tych babcię po małym wylewie. - Widzę was trzech - próbowała żartować, “którym jesteś ty Dudusiu?” O, a nad drzwiami wiszą trzy krzyże… - wisielczy humor nie odstępował jej nawet w takich okolicznościach. Teraz już po oddziale neurologicznym nie było śladu - wygrał wolny rynek, liberalna polityka ekonomiczna, w skrócie - darwinizm gospodarczy, czyli “silniejsi wygrywają i stają się jeszcze silniejsi”.
Szliśmy między budynkami, sanitariusz milczał. Potem ni stąd ni zowąd dał mi karty i spytał, czy znam drogę na oddział. Wiedział, że to moja kolejna wyprawa. “- Ufam Panu, jeśli pan teraz zwieje, zabiją mnie” - dodał i skręcił do sklepiku, żeby pewnie kupić coś do picia. Ołów nadal kapał wielkimi kroplami na rozgrzaną patelnię ziemi. Szedłem dalej sam, ale nie byłbym sobą, gdybym nie przeczytał, co napisano w karcie: “Pacjent lat 36, po raz kolejny, nie halucynuje, bez objawów psychotycznych, silny niepokój, dezorientacja, objawy negatywne. Przyjęty na 6A w dniu 28 sierpnia 2012”.
Mało, za mało. Przecież za każdym objawem stoi cała historia. No, ale czego chcieć, gdy codziennie takich jak ja, albo w gorszym stanie przyjmują na pęczki. Teraz to są brudne choroby, zazwyczaj z uzależnieniami, podwójnymi diagnozami, skomplikowanymi konstelacjami symptomów, z niepewną prognozą. Tymczasem zza krzaków wyłoniła się zachodnia ściana 6A. W miarę jak szedłem, ogromniała, zajmowała coraz większy obszar pola widzenia, potężniała, jeszcze chwila i można będzie dostrzec rysy, pęknięcia w otynkowanym na beżowo murze z solidnej cegły, jeszcze moment, a ujrzę znajomy parking dla personelu (czy ordynator zmienił wreszcie starego grata na nowszy model?), schodki, dwa lwy pilnujące budy, jak Cerber piekła, potem wielkie drzwi z mosiężną kołatką, taką w dawnym stylu i ornamencie.
Staję pod drzwiami, dzwonię, spod ściany podnosi się natychmiast dyżurny pacjent, otwiera, pokazuję papiery, wie od razu, o co chodzi, więc wpuszcza wolno, podchodzę do dyżurki i wtedy słyszę za sobą znajomy, kojący z miejsca głos: “Panie Rafale, witamy Pana…”

***

W pierwszej chwili sądziłem, że się przesłyszałem, ale nie. Głos był żywy i należał do Ordynatora, który

stał z wyciągniętą przyjaźnie ręką i uśmiechał się życzliwie. Odpowiedziałem tym samym. - Proszę wejść, porozmawiamy...mamy czas. Mamy bardzo dużo czasu… - mówił, manipulując kluczem w zamku drzwi do gabinetu. Znałem to miejsce, wielokrotnie tam przychodziłem. Na środku czyściutki, nowy dywan, taki, że arrasy wawelskie wysiadają. Pod oknem wielkie biurko, przy nim dwa fotele. Takie same dwa z mniejszym biurkiem pod ścianą. Pod kolejną ścianą kanapa, przypominająca słynną kozetkę z dawnej psychiatrii. I regał z książkami, podręcznikami, atlasami ciała ludzkiego i encyklopediami. Były tam monografie Kępińskiego, chyba komplet, książki Horney, Dąbrowskiego, "Podzielone Ja" Lainga i mnóstwo innych. Gdy rzuciłem okiem na gabinet, stwierdzić mogłem, że nic się nie zmieniło oprócz kalendarza. Nawet zegar ścienny był ten sam. I kwiaty na parapecie, a za oknem ten sam dąb, którego gałęzie w długie wieczory jesienne uderzały przy mocnym wietrze w szyby, akompaniując deszczom, jakie przychodziły nad to miejsce często. W pamięci miałem ten obraz - wielkie krople spływają jak łzy po wymytych porządnie szybach.
Zaczęła się rozmowa. Jedna z wielu tutaj codziennie. Właściwie nikt nie wyobraża sobie tutaj istnienia bez rozmowy, dialogu. Lekarze starają się za wszelką cenę nawiązać kontakt z pacjentami. Teraz też Ordynator pytał, dużo pytał i słuchał z wielkim zainteresowaniem odpowiedzi. Wszystko, co mówiłem potwierdzał lekkimi skinieniami głowy. Trochę go już przyprószył srebrny osad czasu. Nadal jednak, jak wtedy w Niemczech, był człowiekiem głęboko refleksyjnym, myślącym i doświadczającym życia bez strachu. Jedyną różnicą między zdrowym personelem szpitala a większością pacjentów był obecny w nich strach, którego nie przeżywali lekarze. Strach tak wielki, że tłumiony dużymi dawkami leków, a im bardziej tłumiony, tym częściej powracał.
- Niedawno otworzyliśmy pracownię komputerową, są zajęcia z muzykoterapii, a także hortiterapia, czyli zajęcia w ogrodzie. Nie wiem, czy pan wie, ale w najlepszych latach i czasach świetności naszego szpitala pacjenci mieli do dyspozycji nawet mały warsztat stolarski, była własna piekarnia, były wielkie ogrody, wszystko, czego brakuje ludziom w wielkich miastach. Potem, kiedy zdałem chaotycznie relację z ostatnich godzin sprzed przyjazdu, pożegnał się i poprosił, żebym poszedł normalnym trybem - dyżurka, zdanie ostrych przedmiotów, pieniędzy (kradną), dokumentów, potem dostanę miejsce, jak zwykle najpierw na obserwacyjnym, na dużej sali.
Wiedziałem, że ominięcie obserwacyjnego nie wchodzi w grę. Najczęściej przy dobrym zachowaniu przenoszono mnie wcześnie na górę, gdzie w sali było dwóch, trzech pacjentów. A ja nawet byłem za spokojny, powiedział mi Ordynator, podejrzanie za spokojny. Wyszedłem, udałem się do dyżurki, wykładanej białymi, mlecznymi kafelkami, stały tam przeszklone szafy, obrotowe taborety, leki zamknięte i ściśle chronione, wydawane trzy razy na dobę. Oddałem wszystko, zmierzono mi ciśnienie, zapytano o przyjmowane leki, czy nic nie przemycam na oddział i tak zakończył się ten etap początków pobytu w wielkim, podmiejskim szpitalu. Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Kiedy przyprowadzono mnie na moje miejsce, od razu zwaliłem się na łóżko i wkrótce zasnąłem. Jak wiadomo, liczy się właśnie pierwszy sen w nowym otoczeniu…

***

Obudził mnie dzwonek na wczesną kolację. Walcząc z myślami samobójczymi, wstałem poturbowany, jakbym stoczył we śnie walkę z samym diabłem. Zresztą nie trzeba snu ani diabła - wystarczy walka z samym sobą i tym, co się w związku z tym dzieje. Polazłem do jadalni i wziąłem od stewardesy kanapki ledwo pogłaskane starym dżemem i herbatę, którą trudno tak nazwać. Były to jakieś pomyje z wczoraj, ja lubię mocną, ostrą herbatę, czarną albo czerwoną, a nie jakieś pomyje. No, ale alternatywnego źródła pożywienia nie było. Nie miałem jako nowy wolnych wyjść, a poza tym nawet gdybym nie był nowy, to z myślami samobójczymi nie puszczą mnie nigdzie dalej niż na schodki z rzeźbami lwów. I to nawet było

niepewne...
"Czy skończę, jak Hłasko, Wojaczek, Krzysztoń i Lechoń?" - tłukło się w głowie jak bile na stole bilardowym: paf i pudło, paf i trafione, paf i znowu pudło. Albo jak obstawianie rosyjskiej ruletki - masz 85% szans, że przeżyjesz, to i tak sporo, bo są i tacy co grają na dwie kule. No, albo mniej drastycznie - jak na zwykłej ruletce, jeśli wygrasz czerwonym, i będziesz chciał zakończyć grę, to najdalej na parkingu będziesz mieć nóż w plecach. Miało być mniej drastycznie. Dlatego siedzę w jadalni i walczę, jak mogę, ale oblepiają mnie wszystkie melancholie tego świata, przy których ciemne noce i inne duchowe rozpacze to dziecięca zabawa w wojnę.
Jem i piję, rozglądam się, pacjenci mają już więcej obycia, przeważnie zamknięci w sobie, rzadko rozmawiają, a jeśli to jakimś sobie znanym szyfrem, nie do zrozumienia dla nowych. Zresztą, nawet gdybym zrozumiał, co z tego? Czy myśli staną się bardziej jasne? Czy od tego wskrzeszę Jezusa? Albo sprawię, że dziadek nareszcie dostanie wizę i powróci z Paryża? Albo pojadę tam, gdzie zawsze chciałem, czyli na porządne wakacje, żeby wreszcie wypocząć? Póki co myśli atakują ze wszystkich stron, zewsząd, podchodzą podstępnie, okrążają, jak zawodowi żołnierze spod Monte Casino, z Westerplatte (byliśmy tam z mamą, pamiętam, że próbowałem wdrapać się na czołg). Mam póki co 90% szans na przeżycie, więcej niż w rosyjskiej ruletce. Jeśli nie dam rady, myślę sobie przy tamtym stoliku, wybaczcie. Zwłaszcza, że jak wszyscy chciałem tylko żyć szczęśliwie. I naprawdę nie wiem, za co zostałem ukarany. Moje poczucie sprawiedliwości mówi mi, że to ja mam moralną rację, a nie otoczenie.

***

W czasie gryzienia razowej kromki ledwie posmarowanej tanim dżemem wpadłem na pomysł, że w Starym Testamencie chodzi o bogów. Wstałem, przerażony własnym tupetem, bo zaiste nie studiowałem teologii ani biblistyki. Zacząłem kręcić się po sali. Podchodziłem do każdego stolika i oznajmiałem, że jeśli nawet umrę wcześniej, to wiem, że bogowie mi wybaczą. Nikt nie reagował. Wszyscy zajęci jedzeniem. “A niech jedzą, piją i srają, bo nawet kopulować nie mogą” - pomyślało mi się i poszedłem do palarni, żeby w strugach niebieskiej poświaty ukoić nowe odkrycie. Gdyby płacono mi za myślenie, a zwłaszcza za liczne humanistyczne odkrycia - część z nich szokuje nawet mnie - byłbym miliarderem. Nic z tego. Naukowcy tworzą hierarchię - tylko dla tych “na górze” zarezerwowane są laury za odkrycia i wynalazki. Zresztą już pół kraju stosuje mój sposób rozwiązywania kłopotów, technicznych kruczków i spraw abstrakcyjnych. Łamię sobie głowę - a kiedy dożyję emerytury, położą mi na stoliku wieczne pióra, z tym, że mnie to będzie mało obchodzić. Jeśli w wieku średnim nie przemyślisz swej egzystencji, nie zrobisz tego nigdy. Ucieczki, wiem. Ale nie ma dobrej kryjówki, wszystko odkryte. No, więc, co z tymi bogami…?

***

“A nic, z tymi bogami to się nie może nikt dowiedzieć…” - śmiałem się w duchu wyobrażając sobie minę lekarza, gdy zagaję mu temat, a potem skażę na samodzielne - jak to się ładnie mówi - dochodzenie do prawdy. “A co, jeśli tu na oddziale kryją się agenci watykańscy…?” - myśl ta świdrowała gdzieś z tyłu głowy, przebijała się coraz bardziej, powodowała skurcz w gardle i szybszą akcję serca. “- Nie, tu nie ma żadnych agentów! Uroiłeś sobie!” - darł się inny, męski głos. “To głos ojca.” - stwierdził trzeci, żeński głos. “Nie, to nie jest głos żadnego ojca, wujka ani pradziadka! Nie zmyślaj!” - pouczał surowo głos, w którym rozpoznałem dawnego katechetę. Wszystko się pomieszało, czasy i miejsca, byłem na przykład jednocześnie obecny na oddziale i gdzieś indziej, momentami miałem wrażenie, że jestem wręcz wszędzie; był rok 2012, ale tylko formalnie, bo jednocześnie był rok 33 n.e., 1977 n.e. i 2155 n.e., a potem i 378 p.n.e. i różne inne daty, nauczone w szkole na lekcjach historii. “Ja pierniczę, wszystkie daty są

naraz, miejsca też” - znowu mówił jeden głos, zdaje się, że magistra Wzorka, matematyka i fizyka zarazem, nie ma żadnego “potem” ani “wcześniej”, nie ma “tu” ani “tam”. Nie ma po prostu przeszłości oddzielonej od “teraz” ani przyszłości, zupełnie innej niż obecna chwila. “Ja nie umrę gdzieś tam” - teraz mówił mój “głos”, “ja umrę tu” - dodał i ucichł. Nagle wszystkie głosy, które dyskutowały i kłóciły się w głowie, umilkły, jak zgłuszony odbiornik. Pustka, która zawsze przychodziła po wielkim krzyku przypominała kłótnie babki z dziadkiem, gdy liczyłem zaledwie 6 lat. “Po czyjej stronie stanąć?” - pewnie pytała się wtedy dusza dziecka i musiała rozedrzeć na dwoje, jak zasłona najświętszego w świątyni zaraz po śmierci Jezusa. Teraz była w strzępach, a lekarze mieli za zadanie ją zszyć. Wezmą maszynę i zszyją, sfastrygują i założą, jeszcze upiorą i wypuszczą wolno. Nawet szwu nie będzie widać. “To nie takie proste” - wtrącił starszy nieco głos, do złudzenia przypominający głos dalekiego kuzyna, który opuścił rodzinne miasto, aby realizować się daleko na północy. “Nie powiesz, co z tymi bogami?” - spytał się z kolei damski głos. “To może być ciekawe…” - dodał. “Zamknij się, niczego się nie dowiesz, za głupia dziwka jesteś” - mamrotałem pod nosem, kręcąc się po jadalnym, a pacjenci już kończyli wcinanie kolacji. “Oni mnie tu zabiją, jak się dowiedzą o Starym Testamencie” - powtarzał jakiś głos, ale nieznany. “A dobra, i nikomu nic nie mów, słyszysz? Zachowaj te cudne objawienia dla siebie, nie wiadomo, kto teraz mówi zresztą, więc skąd wiesz…” - napominał niski baryton, chyba pasujący do księdza Tischnera. No, tak, przecież chodziłem na monograf do niego, mówił o Heideggerze, a pod koniec semestru osobiście wpisał mi zaliczenie i wtedy musiał coś mówić, jeszcze nie był chory, zapamiętałem jego głos i teraz mnie ostrzegał. Patrzył spod dużych brwi, uśmiechał się lekko, ale oczy były jakieś poważne, choć spokojne, kurcze, skąd pamięta się takie rzeczy…? Postanowiłem się zdrzemnąć. Jutro też jest dzień. Taki sam, niestety…

***

Jak postanowiłem, tak zrobiłem, a chwilę po szybkim uśnięciu ujrzałem wielką tundrę, tajgę albo sawannę, jak zwał, tak zwał. Byłem na czworakach, z nosem przy ziemi, szukałem czegoś do zjedzenia, lał się upał z wysoka, trawy huśtały się nade mną, obok widziałem ludzi na czworakach, podobnie jak ja ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie widzieli wiele. Wtem postanowiłem coś zrobić. Ku zdumieniu moich towarzyszy, wśród których rozpoznałem w mig niektórych krewnych, z wielkim wysiłkiem postarałem się stanąć na tylnych łapach, czyli nogach. Kilka razy upadłem, aż chwyciłem się jakiegoś krzewu, który zaraz się zapalił, więc musiałem go puścić.
I wtedy właśnie zobaczyłem daleki pejzaż przed sobą, spojrzałem w dół i zobaczyłem stopy wbite w glebę, a uwolnionymi przednimi łapami zamachałem wysoko ku nieboskłonom. Nagle przestraszyłem się tej wysokości i dali przed wzrokiem. Jednak nie chciałem już wrócić do krewnych, którzy wołali z dołu, żebym przestał "wydziwiać" i chodził normalnie na czterech łapach. Poszedłem krok za krokiem powoli przed siebie, trzymając się traw jak poręczy. Wzrok z początku nieostry z wolna się poprawiał. Wkrótce nie musiałem już trzymać się poręczy i szedłem coraz dalej i szybciej, rozgarniając trawy jak fale morskie, ustępujące przed kadłubem lodołamacza.
Jednak strach pozostał wielki. Nie było powrotu do pełzania. Trzeba teraz zacząć chodzić na dwóch łapach. Już nie widać robaczków, kamyczków, rybek, igiełek i innych detali. Już widzi się głównie to, co odległe, trzeba uważać, żeby nie upaść, widać prawie wszystko, a nie tylko pół metra przed nosem. Widać teraz wszystko. Zlany potem zerwałem się z posłania. "Ha, więc to tak było...no to strach się bać..." - powiedziałem półprzytomnie pod nosem, a w sali obserwacyjnej było pusto. "Tylko nie mów nikomu" - szepnął nieznajomy głos, jakby dziecięcy. "... nikomu....ikomu...komu..omu...mu..uuu." - echem odezwały się we mnie jakieś najczulsze struny instrumentu, jakim jest każdy ludzki organizm.

***

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

RafalSulikovski, dodano 30.08.2019 13:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.